



Mirosław Gawlicki jako Segismondo („Życie jest snem”)

Fot. Z. Postępski

przedstawienie „Księżniczki” w reżyserii Antoniego Baniukiewicza. Było to zresztą marne przedstawienie, mające się jakoś do calderonowskiego festiwalu, ale do samego Calderona nie za bardzo.

A miał już wówczas reżyser do dyspozycji współczesną przeróbkę sztuki, tzw. imitację Jarosława Marka Rymkiewicza. Przewrotne są te rymkiewiczowskie imitacje z Calderona. Niby wiersze oryginałowi w fabule, w klimacie i filozofii, a przecież co chwilę wyciera z nich czytanie imitatora w tym co napisano później. Co tu dużo mówić — imitacje Rymkiewicza to Calderon plus trzy wieki rozwoju oryginalnej literatury hiszpańskiej, plus tyleż wieków poznania ludzkiego. Wyrzucając co archaiczne, oczyszczając utwory z barokowego manieryzmu, z językowego chwastu, przybliżył je Rymkiewicz współczesnemu odbiorcy. Udowodnił, że forma się zestarzała, lecz pozostała myśl jasna i czysta poezja. Jak by się na te imitacje nie zrykali filologowie — historycy literatury, zasługi Rymkiewiczowi odmówić nie mogą.

Imitacje same nie tworzą teatru. Z kilkudziesięciu przedstawień, które powstały na fali mody, kilka można nazwać twórczymi. Reszta to imitacje imitacji. Moda właściwie już przygasła. W minionym sezonie Calderona grano bardzo mało. Był to zresztą sezon mody na współczesną dramaturgię polską. Jeśli więc teatr podejmuje dziś decyzję zagrania „Życia snem”, należy uważać, że nie był to wynik porwania przez falę, lecz że powodowała dyrekcją i reżyserem pełna świadomość wyboru.

Rzeszowski teatr rozpoczął premierą „Życia snem” w imitacyjnej adaptacji Rymkiewicza nowej sezon. Dokładnie: „Życie jest snem” (Snem jest teatr, snem jest życie — a więc śnijmy...). Większego znaczenia ta ścisłość nie ma, ale pewne znaczenie ma, więc proszę bardzo... Przedstawienie wyreżyserowała Krystyna Meissner. Pani Meissner zrobiła dla rzeszowskiej sceny już parę sztuk, z reguły udowadniając, że świadomość celu ostatecznego zajmuje w jej reżyserkich poczynaniach właściwe miejsce.

Cel działań reżysera i w tym przypadku jest stosunkowo łatwy do uchwycenia: ujednoznaczenie wymowy filozoficznej i fabularnej dzieła. Było to ujednoznaczenie dążące aż do kolizji z programową niejednoznacznością zasugerowaną w tytule — życie jest snem... Krystyna Meissner zrobiła wszystko, aby opozycja „życie jest snem” rozwikłała się w realistycznych cyklach losowej edukacji głównego bohatera Segismonda. Konwencja calderonowskiego niedookreślenia bytu, konwencja obnażania teatralnych iluzji zostały poddane rewizji. Refleksja filozoficzna, konflikt sumień pojechały po szerokim torze dramatu politycznego, dramatu władzy. Poetycka bań przerodziła się w utwór realistyczny. Idealnie precyzyjny, gdyby nie parę meandrów, ukłonów w stronę konwencji nierealistycznej, od której w tym przypadku uwolnić się jest bardzo trudno.

Najwyraźniejsze umknięcie w bok, najbardziej rażące przez kontrowersyjność obranego kierunku, to scena rewolucji. Paradoksalny kociokwik realizmu. Zgraja zamachowców poubierana w maski przeciwważowe, z cudacznym futurologiczną bronią, pirotechnika, wizja wypisz-wymaluj wojny atomowej — wniosła groteskowy klimat, nie przystający do tempa rozgrywanego dramatu, do nastroju serio. Scena — oddech, jednym słowem, choć z powodu dymu nie było czym oddychać.

Potem wszystko wraca do tonu poważnego. Rzecz kończy się jak powinna, jak jest u Calderona. Ale tam o finale przesądzały losy. W gwiazdach było zapisane, że Segismondo zrodzi się z

królewskiego taty potworem, że mądry Basilio wysłał go przezornie na wygnanie, że wezwie go stamtąd, by poddać próbie, że Segismondo okaże się krwawym wampirem nie odróżniającym dobra od zła, że wróci do swej izolacji i do przemysłów, że uwolni go rewolucja, że Segismondo po raz drugi przywrócony do życia i władzy zacznie od stracenia tronoburców... U Calderona o wszystkim zadecydowały gwiazdy. W inscenizacji „Życie jest snem” Krystyna Meissner wszystkie wydarzenia ułożyła w łańcuch przyczynowo-skutkowy. Ludzie swoimi poczynaniami wywołali zakończenie. A końcowa inwokacja do widowni — czyście się czegoś nauczyli? — tłumaczy się doskonale.

Dobrze to czy źle? I źle, i dobrze... Była to niewątpliwie twórcza inscenizacja, próba interesującej interpretacji. Z drugiej strony żal Calderona, poezji, której pozostało tak mało, teatru autoironicznego, samoparodiującego się, mówiącego, że teatr jest tylko snem...

Było to przedstawienie dość dobre aktorsko. Mirosław Gawlicki zaproponował ciekawego psychologicznie Segismonda, miotanego sprzecznymi, Segismonda — matrycę postaw otaczających go ludzi. Był cynicznym, zimnym łotrem w scenie pierwszego życia jawą, bezradnym nieszczęśliwcem po ponownym wtrąceniu go do lochu i mądrym, nauczonym przez życie politykiem — w scenie końcowej. Od tej interpretacji zależało powodzenie zamysłu inscenizacyjnego, ona też go wystrzała.

Zygmunt Wiaderny (Basilio — ojciec Segismonda) zagrał prosto, wręcz ascetycznie, jakby dając do zrozumienia, że w tej sztuce jego rola to być katalizatorem postaw i czynów. Małgorzata Matusewska mimo świadomości, jak mało ma znaczenie dla tej gry politycznej romansowy wątek jej Rozaury, wносиła na scenę rzadkie momenty rozpoetyzowania. Maria Góral potraktowała rolę Estrelli z żartobliwym dystansem. Była to interpretacja z klasycznego Calderona, sympatyczna zresztą. Adam Fornal (Clarín) potraktował rolę refleksyjnie. Nie był to więc wesoly giermek, lecz sługa-filozof trochę na miarę Sancho Pansy, a trochę Kubusia Fatalisty. Najbardziej serio zagrał rolę Stanisława Jaskowski (Klotaldo), na granicy tragizmu, co właściwie nie było potrzebne.

Mocną stroną przedstawienia była scenografia Krzysztofa Pankiewicza. Symboliczna, ograniczona do tkanin na wyciągach i szajnizujących rupieci po kątach. Samodzielny twór plastyczny, a równocześnie element współtworzący kompozycję przedstawienia. W gruncie rzeczy nie nadzwyczajnego, a przecież artystyczne odkrycie po tych wszystkich mebelkach z epoki.

EDWARD TEODORCZYK

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie: Pedro Calderon de la Barca — „Życie jest snem”. Imitował: Jarosław Marek Rymkiewicz. Reżyseria: Krystyna Meissner. Scenografia: Krzysztof Pankiewicz. Muzyka: Zbigniew Penhersi. Premiera — listopad 1977 r.

teatr

665

Życie jest życiem

Calderona dla powojennego teatru polskiego odkryła Krystyna Skuszanka, ale pozycję zapewnił mu Jarosław Marek Rymkiewicz. Przedstawieniem „Życia snem” we wrocławskim Teatrze Polskim przypomniała Skuszanka, jaki kawał pysznego teatru stworzył hiszpański pisarz, prawie przez ten teatr zapomniany. A było to w roku 1968 jeszcze, kiedy reżyserka przedstawienia mogła dysponować tylko archaicznym przekładem Edwarda Boyé. Przekład ten dość skutecznie uniemożliwił wejście „Życia snem” na współczesną scenę, odstraszał inscenizatorów mających ambicje większe od ilustrowania historycznych dram. Słabość tekstu nie przeszkodziła sile przedstawienia. Twórczy charakter spektaklu, uniwersalna filozofia, poetycko-allegoryczny klimat sprawiły, że rozmościła się krytyka. Ze Skuszanka to wiadomo..., ale ten Calderon, kto by się spodziewał, także staro-cie...

Tak się zaczął polski festiwal Calderona. Wszystkie teatry uparły się grać jego sztuki. Sceny wielkich ośrodków i prowincjonalne biedusie. Bywało, że po kilka teatrów równocześnie miało w repertuarze sztuki Calderona. „Życie snem”, „Księżniczka na opak wywrócona” i „Niewidzialna kochanka” w nowoczesnych przeróbkach Rymkiewicza poleciały przez Polskę, usuwając w cień spopularyzowanego wcześniej „Alkada z Zalamei” i przyswojonego dzięki Słowackiemu „Księcia Niezłomnego”. W calderonowskim pochodzie wziął udział również rzeszowski teatr, dając w 1971 r.